

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

— To zmienia postać rzeczy! — rzekł hrabia, śledząc nieufnym spojrzeniem obu młodzieńców — A ta dziewczyna wydawała mi się zupełnie niezdolną do jakiegoś karygodnego czy szalonego wybryku.

Ani Filip ani też Piotr, żaden z nich nie starał się ukryć wzruszenia. Postępki, które pozostają w gwałtownej sprzeczności z charakterem danego człowieka, mogą pociągnąć za sobą najgorsze skutki. Obawiali się więc, aby nie stało się coś, czego nie będzie można naprawić.

— Zapewne zostawiła jakiś list przynajmniej podjął Rougeferre, zniecierpliwiony milczeniem tamtych.

— Szukałam, ale nic nie znalazłam — odparła pani de Givreuse przygasłym głosem.

Kochała Walentyne i zdawało się jej, że tak dobrze zna tę dziewczynę, która nie umiała udawać, a tem mniej kłamać.

— Trochę za dużo tajemnic w tym domu — mruknął poprzez zaciśnięte zęby hrabia Augustyn.

A głośno rzekł:

— W każdym razie nikt mi nie wmówi, że nie miała jakiegoś ważnego powodu, aby tak postąpić.

Zwrócił kolejno wzrok na Piotra i Filipa. W oczach jego widniała ciekawość i jakiś niemy wyrzut.

— Bez wątpienia — rzekł Piotr, spoglądając hrabiemu prosto w oczy. — Nikt wszakże nie wyrządził jej przykrości umyślnie.

— Niech i tak będzie! — burknął Rougeferre. — Nie starajmy się więc zrozumieć, natomiast nie tracmy czasu. Trzeba ją odszukać.

Stary hrabia był to człowiek czynu. Od razu podał cały szereg odpowiednich zarządzeń.

Filip, wspólnie z ogrodnikiem, miał przeszkąć wybrzeże. Piotr uda się do Avranches, sam hrabia pojedzie do Granville.

Pani de Givreuse miała rozstać służących do wsi sąsiednich i zażądać pomocy doktora Savarra, który znał doskonale okolice i rozporządzał licznym personelem.

ROZDZIAŁ V.

Walentyne przeżyła noc tragiczną.

A jednak wieczorem wydawała się i była prawie zupełnie spokojną.

Kiedy się znalazła sama w swoim pokoju, odczuła z początku miłą ulgę.

Zdawało się jej, że odnajduje samą siebie, że te gwałtowne wstrząśnienia były przywidzeniem, wywołanym przez zdenerwowanie i zbyt uczuciową egzaltację.

Nie chciało się jej jeszcze spać. Wzięła więc książkę ze swej podręcznej biblioteczki. Był to „Polny Franek”.

Z przyjemnością wczytywała się w te opisy prostego, naiwnego, wiejskiego życia.

Jednym tchem, chciwie prawie doczytała się aż do miejsca, gdzie Magdalena przebywa chwilę się most, niosąc Franka na rękach.

Nagle młoda dziewczyna uczuła w sercu coś jak ukłucie, jakieś przykre drgnienie, które jej przypomniało jej troski.

Odłożyła książkę i przez chwilę ściagała wzrokiem trzy śmy, krążące wokół lampy elektrycznej.

Wielki, głuchy niepokój budził się w głębiach jej duszy.

Z bolesną dokładnością zarysowała się przed nią sylwetka Filipa. W uszach zadźwięczał czterowersz, który on wypowiedział tam, przy oknie.

Walentyne powtórzyła strofę, a nie mogąc sobie dokładnie ostatnich dwóch wierszy przypomnieć, zastanawiała się przez kilka minut, aby je w pamięci odtworzyć.

Najnieznośniej było to, że nie umiała sobie wyjaśnić, dlaczego się właściwie tak wzruszyła i zatłoczyła.

Nie nawykła do analizowania swoich wrażeń

i być może, nie posiadała w tym kierunku wielkich zdolności.

Cierpienie jej graniczyło z jakąś mistyczną grozą.

I to przerażenie wzmagало się gwałtownie i mimowoli zdawało się jej, że w tem przeżyciu tkwi pierwiastek nadprzyrodzony.

To wszystko powodowało zamęt w głowie dziewczyny, która nie umiała, nie mogła znaleźć żadnego rozwiązania.

Zadna myśl nie zarysowywała się jej jasno, ale wrażenie było tem silniejsze.

Kilka razy próbowała zabrać się znowu do czytania, ale książka bardzo prędko wysuwała się jej z rąk. Ciemne rojenia powracały uparcie.

Stan taki trwał przez kilka godzin.

Walentyne czuła się zmęczoną, ale lęk jakiś nie pozwalał jej położyć się do łóżka.

Przysunęła fotel do okna, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Spadła na nią kamienna ociężałość. Zasnęła.

Kiedy się zbudziła, świt był już niedaleki. Dwie wielkie gwiazdy układały się na sen w oceanie.

Walentyne dygotała. Miała gorączkę. Skronie jej pałały, a dłonie były lodowate.

Ze zdziwieniem spoglądała koło siebie. Mgła przesłaniała mózg. Wszystko przesadnie potęgniało w niej i dokoła niej.

Machinalnie wzięła płaszcz i szal.

Przeszła przez park i poprzez boczną furtkę wydostała się na drogę w chwili, kiedy blade światło zacierało blask księżyca.

Walentyne nie zdawała sobie jasno sprawy z tego, co czyni. Gorączka zwiększyła się. Serce i puls dziewczyny uderzały rozpaczliwie. Jakiś czas szła wśród chwastów i ciernistych krzewów.

Świt bieleł i powiększał obłoki. Potem rozgorzał różowy płomień.

Panna de Varsennes szła ciągle. Gorączka pałała ją męczyła, ale zarazem podtrzymywała.

Kilka razy przystawała, zwracając się w kierunku zamku, ale jakaś moc nieokreślona pchała ją w dalszą drogę.

Minęło kilka godzin, kiedy Walentyne znalazła się w Avanches, słońce było już wysoko na niebie.

Skierowała się do kościoła, weszła i modliła się żarliwie. Potem w wąskiej ulicy zatrzymała się przed starym domkiem, o dachu krytym gontami.

Przy drzwiach wisiała kołatka. Walentyne zastukała.

Kobieta w podeszłym już wieku z twarzą trójkątną i piwnymi oczyma otworzyła drzwi i krzyknęła:

— To ty, moje drogie maleństwo!

— To ja, Magdaleno.

Chwilę trwały obie w milczeniu, jedna równie zdziwiona, jak druga. Potem gospodyni poprowadziła gościa do małego saloniku, którego umeblowanie stanowiły niskie, do kościelnych podobne krzesła z bardzo wysokimi oparciami, stary stół dębowy, rzeźbiona skrzynia, przypominająca sarkofag i szeroka komoda z miedzianymi okuciami.

Panna Magdalena Faubert była niegdyś guwernantką i pierwszą nauczycielką Walentyne.

Ta stara panna miała w swym charakterze wad tak mało, jak na to wogóle pozwala ułomność natury ludzkiej.

Szczerze skromna, choć bynajmniej nie pokorna, stanowcza i skrupulatna, zrezygnowana i wesoła, oszczędna a jednocześnie szczerobliwa, uparta niekiedy, trochę zanadto skryta i popędliwa czasem w stosunku do samolubów i pyszałków.

Serce jej było istną niewyczerpaną studnią współczucia.

Szalenie kochała Walentyne. W przywiązaniu tem zespoliły się wszystkie nieziszczone jej pragnienia, instynkt macierzyński i miłość jakaś nieskończenie czysta, kryjąca jednak w sobie zaród gorętszych uczuć, których urzeczywistnić nie pozwoliły jej: ubóstwo, wypadek, okoliczności.

Chociaż niewinna sercem, jak małe dziecko, przenikliwa była i miała doświadczenia.

Była to jedyna istota, której Walentyne śmiała powiedzieć wszystko.

Magdalena obserwowała nieznacznie młodą dziewczynę.

Widziała zmałowane oczy, rozpalone skronie,

spojrzała wzburzenie malujące się w całej postaci.

Ręce gościa ścisnęła palcami, które równie drobne i równie niegdyś delikatne, jak palce Walentyne, obecnie zgrubiałe były w stawach z powodu reumatyzmu.

— Skądże przybywasz, droga markizo? Wyglądasz jakbyś miała gorączkę...

Zbadała puls dziewczyny i skonstatowała że jest przyspieszony.

— Tak, zdaje się, że mam gorączkę... i taka jestem znużona, Magdaleno!

Magdalena usadowiła ją na jednym z swych krzeseł kościelnych o oparciu twardym i niewygodnym.

Czuła, że pytać nie należy. Czekala więc cierpliwie z tym słodkim spokojem kobiet, które umieją słuchać i pocieszać.

— Och! Magdaleno... — westchnęła dziewczyna — dlaczegoż jestem tak nieszczęśliwą... To nic jeszcze... można być nieszczęśliwym, kiedy cała Francja cierpi... ale nie w ten sposób... nie tak!...

Oczy miała pełne łez.

— Nie wiem, czy ty będziesz mogła zrozumieć... ja sama nie rozumiem... Być może, że dostaję obłędu... Uciekłam z zamku... z przerażenia...

Z przerażenia! — krzyknęła Magdalena — Przecież nikt sobie chyba nie pozwolił?!

— Ach! Niki, moja droga... Nikt nie zawinił względem mnie ani jednym nawet słowem...

Magdalena badawcze spojrzenie zatopiła w bladej twarzy młodej dziewczyny.

Walentyne ciszej rzekła:

— Magdaleno, być może, że odgadłaś, o czym marzyłam podczas jego nieobecności...

— Odgadłam, mała markizo... to, dobrze... tego właśnie życzyłam sobie.

— Ja go chyba kochałam jeszcze przed odjazdem... Ale to nie była miłość zupełna... Tak jakby potrzeba było dopiero tej nieobecności... I zdawało mi się, że on także...

— Możesz być tego pewną!

— Kiedy wrócili...

— Stara nauczycielka drgnęła żywo.

— Tamten przecież nie wracał.

— Oczywiście. Ale jak wiedzieć. Nie można było ich rozróżnić. Wiesz o tem dobrze.

— To prawda. Podobieństwo jest uderzające.

— Przerażające, powiedzi!... Byłam zaskoczona... Wiesz, to tak jakby się obudzić podczas najlepszego snu. Magdaleno, gdybyś wiedziała, z jakim gorącym uśmięciem czekałam... Niecierliwiłam się i czułam się tak szczęśliwą... I nagle to on, a przecież nie on... jest drugi, który jest nim samym.

— Tak! — wyrzekła w zamyśleniu stara panna — nie pomyślałam o tem... przynajmniej nie w ten sposób. Tak, to musiało wywrzeć wstrząsające wrażenie.

W umyśle młodej dziewczyny jakby się jakaś mgła rozproszyła. Jakby dopiero gorączka mogła rozjaśnić ten zamęt intuicyjnych, nieokreślonych dotychczas przeczuć.

— To już nie chodziło o podobieństwo. To było jak objawienie... druzgocące... zniszczenie osobowości. Kilka dni przepędziłam w zupełnym odrętwieniu. Wszystko zamierało we mnie... przynajmniej tak mi się zdawało. Później nawróci... Moje marzenie rwało się do życia. I odżyło. Wysilałam się, aby go oddzielić od tamtego... od Filipa... żeby odosobnić Piotra. Zdawało mi się wreszcie, że mi się to udało, chociaż nie mogłam się pozbyć jakiejś trwogi bezustannej, jakiegoś czarnego przeczucia. Była jedna chwila cudownie piękna... nad brzegiem morza, pomiędzy dzikimi skałami, z którymi wiązały nas wspólne, drogie wspomnienia. Tam... wtedy sądziłam, że groźba przezwyciężona... Oczy nasze odnalazły się... Ale kiedy Filip zbliżył się znowu do nas... jakby to wyłomaczyć... to było zupełnie to samo spojrzenie... i... mam tę przerażającą pewność... ta sama miłość!

— Ta samotność! — powtórzyła w zadumie Magdalena.

Zaczynała rozumieć. Trochę wzburzenia Walentyne udzieliło się i jej.

(Ciąg dalszy nastąpi).